ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 1 stycznia 1916 roku. № 1.

Andrzej Strug. POWIEŚĆ.

Dzieje jednego pocisku.

20

Kiedy dawano mu znać, że „te przyjechały", wołał delegatów do kancelaryi, prosił ich siedzieć i przepijali do siebie. Szwagrowie nie opowiadali mu o przygotowującem się powstaniu, o konieczności kontrybucyi, o obowiązkach obywateli, o woli ludu, ale śmieli się zupełnie otwarcie i z siebie i z całego świata, puszczając złodziejskie koncepty.

— No co, złodzieje, jak wam się powodziło przez ten miesiąc?

— Zgrzeszylibyśmy, jakbyśmy się skarżyli. Idzie, wielmożny panie...

— Ej, urwisy, przyjdzie i na was pomorek. Ja was pierwszy pożałuję, boście chwackie draby.

— Niech się pan dziedzic nie niepokoi. Nic nam nie będzie. Policya jest z nami.

— To ja wiem, ale jak przyjdą prawdziwi socyaliści, z prawdziwej partyi? Co?

— Tu oni żadnych interesów nie mają... Są w Sierbienicach chłopy z P. P. S., są znowu w cukrowni, ale tam nie dochodzim. A znowu nigdy my partyi nie zaczepiamy, ani się nie wdajemy w politykę.

— A jakby przyjechały robić strejk?

— Toby robiły — nam nic do tego.

— A podatek za strejk to bierzecie, złodziejaszki wy kochane?...

— Podatek jest rozpisany ogólny za wszystko...

— A jak się chłopy ruszą? Przecie oni roztrzęsą i waszych żydów i was... Noga z was nie ujdzie! O to się bardzo boję!...

— Jeszcze my żadnego chłopa nie ukrzywdzili. Gdzieindziej, gdzie są ludzie głupie, zastępują na gościńcu chłopom, jak z jarmarku wracają. Taki długo nie pożyje. Chłop jest zawzięty. Ale my tylko bierzem od bogatych — i dlatego my nie zbóje, ani złodzieje, tylko porządku pilnujem. A za porządek trza płacić.

— Racya. To wam się należy. Takie czasy, że złodzieje rządzą.

— Więcej od stu lat u nas złodzieje rządzą, proszę łaski pana, tylko obce, niechże choć czasem zarobią i swoje.

— Dobrze, dobrze, napij się jeszcze, Figiszewski. Wiem, żeś patryota.

— Każdy na swój sposób tę ojczyznę podbiera. Hrabia z Zawadowa jest w Radzie. Pan Poklęski w tej Dumie, a my biedne tyż się staramy, jak możem... My jedni utrzymujemy porządek w te rewolucye.

— Nie bójcie się, będzie wam kraj wdzięczny. Żeby was tak ino przed czasem co nie spotkało. Żeby tak tylko kto na was chłopów nie podbuntował... Bo, widzicie, chłop jest ciemny. Nawali się tego do miasta, żydów nabiją, winnych i niewinnych, a ciebie, Figiszewski, urządzą po chłopsku, powieszą cię na płocie za... i ciebie, Ładukowski, tyż za... Pijcie, szwagierki, lubię was za fantazyę!

— Dziękuję wielmożnemu panu za dobre słowo! Ale nas niespodzianie nikt nie weźmie. Zawsze będziem wiedzieli, kiedy czas jechać do ciepłych krajów.

— I macie zaco?

— Trochę ta się uścibało — trza to powiedzieć.

— Tylko wam mogą wejść w drogę insi. Chodzi jakaś banda koło Wywrotni, może i tu zawadzić, narażą się chłopom, a pójdzie na was. To prawda, że w zeszłym tygodniu zabili dwóch żydów na szosie? W gazecie czytałem.

— To jest prawda, ale z tamtemi u nas jest umowa i zapewnienie.

— A czy tacy dotrzymują?

— Jak się kogo dobrze za pysk trzyma, to i taki dotrzymuje.

Pan Szuba z satysfakcyą patrzył na drabów. Było to rosłe i śmiałe w spojrzeniu i w pysku. Cenił w nich fantazyę i spryt, i uważał, że takim należy się podatek, choćby już za to samo, że tacy są. Nadewszystko jednak podobało mu się, że pobierają opłaty od naczelnika i urzędników, a nawet od dowódcy siły zbrojnej. To go podbijało zupełnie.

— A co tam słychać u sąsiadów? Płacą regularnie? Co porabiają w Mraczyńcach?

Pani dziedziczka wciąż choruje, a starszego panicza wciąż trzymają w kryminale. Słyszałem, że z nim źle. Dobrze, jak jeszcze na katorgę pójdzie na całe życie. Szkoda go. Mówię ja zeszłego miesiąca do dziedzica: Wielmożny panie, panicza możnaby wykupić na czysto przez naszych ludzi, czyli tych żydków w Warszawie. Jabym się przepytał, co i jak — nic naprzód nie wezmę, ino potem. To ci stary pan zczerwieniał i zaczął cholerować:

— Z ołtarza wy, zbóje, ściągacie, wdowy, sieroty nie pożałujecie, ale żeby takiemi rzeczami szachrować, tego ja się — powiada — nie spodziewałem. Poszły won, bo śmierdzicie, judasze!

— O co się tu gniewać? Takie rzeczy się robią, wiele to naszych ludzi z pod sądu wojennego cało wyszło, a politycznych też niemało, jeno że tam niebardzo mają czem zapłacić. Ale dziedzic z Mraczyńców nie pożałowałby i dwudziestu tysięcy. Zgubi on syna! Że mnie nie wierzy, to jest jego zaślepienie, ale on też nie wierzy, żeby sąd można było kupić? Zanadto on tych złodziejów szanuje. To mnie dziwi. Zgubi syna, jak nic...

— Może go jeszcze swoi wykradną, jak tamtych. Co? Dobry był kawał?

— To było zrobione po naszemu. Proszę ja pana, żeby te socjały na naszych się nie krzywiły, to inaczejby poszła cała rewolucya i kto wie, czy o tej porze nie byłoby już Polski.

— Bardzo być może, ale już ja wolę bez takiej Polski. Pewnie byłbyś ty, Figiszewski, u nas za gubernatora?

— Prawdę rzekłszy, panie dziedzicu, to nasz teraz nie gorszy odemnie. Tylko że ja sam jeżdżę po pieniądze, czy po tę ordynacyę, a do niego sama szlachta jeździ i kłaniają się jeszcze, żeby tylko brał. A on bierze nie po dziesięć rubli, ale po tysiącu.

— Bierze i po sto. To niezły człowiek, ale chyba i wam czas się trochę pomiarkować. Nie te czasy— pieniędzy dziś nie dostaniecie. Bierzcie od tego, co na własnym gruncie siedzi, albo niech za mnie płaci hrabia, któremu ja tenutę wypłacam. Mogę dać korzec żyta i ćwiartkę grochu. Więcej nie dam! Zabijcie mnie, podpalcie, wszystko mi jedno.

Szwagrowie się śmieli życzliwie.

— Mybyśmy od łaski pana nic nie brali, bo pan wielmożny jest człowiek rzadki. Ale i nad nami jest dozór. „Oni" nam nie darują.

Dzierżawca też się śmiał, bo wiedział, że żadnych „Onych" niema.

— To zapłaćcie im za mnie przez przyjaźń.

— O, myby to zawsze robili, ale czy to pan dziedzic od nas przyjmie?

— Oj, draby, draby, źle wy skończycie! Lepiejby wam było po dawnemu konie kraść, to pewniejsze! Na — trzymaj jeden z drugim: trzy ruble! A teraz chodźmy na gumno, to wydam wam ordynaryę, dyabelskie parobki!...

— Cóż robić? Z panem to człowiek nie ma serca się targować. Pięknie dziękujemy za gościnność i za dobre słowo.

Ideę i organizacyę „Pięciu mężnych" przywiózł z Białegostoku do Szlamowiec przed dwoma laty ostatni, ocalały z pogromu partyi, Izrael Miński, który w Szlamowcach miał rodzinę. Pobity, storturowany, nawpół żywy, przez cudowny zbieg okoliczności uszedł sądu polowego i dowlókł się do miasteczka. Pożył już niedługo, ale przed śmiercią zdołał pozyskać dla swojej idei kilka jednostek. Jeno snać kolby sołdackie uszkodziły przenikliwy rozum straceńca-anarchisty, jeżeli powierzył swoją naukę w takie ręce. Był on bowiem, jak i znana szeroko a krwawa partya „Pięciu mężnych", z rodu tygrysów — a zastępstwo powierzył jakgdyby szczurom. Dopomógł on jedynie kilku złodziejom do połączenia się w jedną organizacyę, którzy przedtem działali osobno. Umarł Izrael Miński w ostatniej nędzy, wspominając starych, rozstrzelanych towarzyszy i marząc o czynach odnowionej partyi. Została po nim solidarna banda opryszków, która zachowała starą nazwę żydowską, a zresztą niczem, chyba sprytem i siłą, nie wyróżniała się z pomiędzy wielu grasujących podówczas po kraju kup bandyckich.

„Pięciu mężnych", było to około dwudziestu dusz złodziejskich — żydowskich i polskich, które we wzorowej zgodzie i bez żadnych antagonizmów rasowych pracowały nad eksploatacyą finansową ówczesnych zawiłych stosunków.

Sytuacya ta ustaliła się na dobre, przyzwyczaili się do niej wszyscy i zamożność firmy „Pięciu mężnych" tudzież szlamowieckiego naczelnika straży ziemskiej wzrastała szybko. W okolicy był ład i spokój, obywatel za swój skromny (trzeba to przyznać) grosz mógł być pewnym życia i mienia. Handel i przemysł miejscowy nie doznawały uszczerbku, administracya zachowywała się taktownie... I wszystko byłoby pomyślnie, gdyby nie to, że wmieszały się do tych oddawna unormowanych stosunków żywioły, nic wspólnego nie mające z istotnemi potrzebami kraju, obce naszym bólom i nadziejom, wybuchowe i niesforne a do gruntu zmateryalizowane. Popsuli wszystko — właśnie oni, „ci — ci", których jedynem zadaniem jest wszystko psuć, ze wszystkiego szydzić, poniewierać przeszłość, zatruwać najdroższe marzenia o przyszłości, a krwią i ohydą zapełniać bieżącą chwilę. Zdziczały proletaryat pod wodzą wyuzdanych fanatyków i t. d. i t. d.

Symcha Szter, zwany przez wtajemniczonych „Mostowym", był z zawodu zegarmistrzem, prowadził jednak prócz tego rozległe interesy z naczelnikiem straży ziemskiej, z komisarzem włościańskim i nie miał głowy ani czasu na naprawianie zegarków. Czynił to za niego ubogi kuzyn, bladolicy i suchotniczy osobnik, którego od rana do nocy można było widzieć siedzącego w oknie z lupą, założoną na oku, i pochylonego nad robotą.

Pewnego dnia Symcha pisał list następujący:

— Drogi „Sędzio"! Bądź ty zdrów i cały. Tego ci życzy stary, wierny przyjaciel „Mostowy" i nasze „Pięciu mężnych", co z nich każdy starczy za trzydziestu pięciu. Zrobiłem, jak ty kazałeś, i wszystko jest już w porządku. Cieszę się, że jesteś w dobrym humorze i że tak dowcipnie żartujesz. Obiecujesz za przywiezienie towaru dwadzieścia pięć rubli! To jest duży grosz, ale handel to jest handel.

Otóż trafia się amator, co mi za to daje sto rubli, a daje dlatego, że tyle jest dla niego warto. Dla nas to jeszcze tanio, bo było dużo kosztów i jeszcze więcej niebezpieczeństwa i zachodu. Ale nie tobie, stary przyjacielu, trzeba tłómaczyć, że sto jest zawsze trochę więcej, niż dwadzieścia pięć! A przytem przykro mi powiedzieć, że nie dostaniesz tego i za sto, bo rzecz jest już stargowana. Ty sam wiesz, że towar jest delikatny i że go nie można przetrzymywać na składzie. A nasze amatory to są też tacy ludzie, że z niemi lepiej umowy pilnować, a każdy interes prędko kończyć, bo inaczej sami biorą, a dla naszego interesu mogą stąd wypaść duże niepokoje. Jakby ci się to nie podobało, drogi przyjacielu „Sędzio", to sobie przypomnij naszego chłopca (jego u nas nazywali „Zając"), który ci przysłał do przechowania 50 rubli, jak szedł na wysyłkę, żebyś mu te pieniądze tam przysłał, jak będzie uciekał do domu. Ty nie winien, że „Zając" w drodze umarł, ale i ja nie winien, że pieniądze, któreś mi odesłał, w drodze zginęły, pewnie wtedy, jak tamci zabrali pocztę na stacyi Lasek. Ty sobie idź, „Sędzia", na pocztę z kwitem, to tobie zwróca, a zato już mi nie potrzebujesz tych pieniędzy odsyłać, bo ja biednej matce „Zająca" odtrącę z tych stu rubli za towar. Kłaniam się tobie i twoim dzielnym chłopcom z „Ręki sprawiedliwości", co niech ona zawsze szeroko zagarnia, a mocno trzyma! Twój „Mostowy".

Cały interes, o którym mowa, prowadził Figiszewski. Sprawa była delikatna a teren niepewny, gdyż nikt z „Pięciu mężnych" nie miał jeszcze do czynienia z partyjnymi ludźmi. Wziął tedy do pomocy swojego dobrego znajomego, niejakiego Knoblaka, który do bandy nie był dopuszczony, ale wyświadczał jej dorywczo pewne usługi, zaco dostawał cośkolwiek do łapy. Był to handlarz drobiem i jajami — taka była jego pozycya socyalna, ale w bandzie wiedziano, że to tylko pozór. W istocie Knoblak był złodziejem, pracującym na osobności i operującym głównie na jarmarkach i odpustach, gdzie stoi dużo fur chłopskich bez dozoru. Przybył on skądś ze świata przed dwoma laty, a znać było po nim, że się po tym świecie otarł i wytarł. Znał się na polityce, agitował na własną rękę podczas wyborów, ciekawy był do wieców i gotów był do upadłego rozprawiać o materyach politycznych. Wiedział, gdzie są jakie partye, która lepsza, która gorsza i nieraz na jarmarkach zawracał chłopom głowę, przemawiając o Polsce, o tych „krzywdzicielach-cudzoziemcach", o „tej krwie niewinnej", o wojnie japońskiej, o tym generale „Kurowskim", co jest zawsze gotowy, i kończył stale:

— Będzie dobrze, będzie dobrze, nie bójcie się, dobrzy ludzie, ino jeszcze troche tego, ino jeszcze aby troche tego...

Tu robił rozmaite miny i gesty, pokazywał jakgdyby strzelanie i wojowanie, poczem, kiedy już był na niego czas, wysuwał się z tłumu, który go obstępował i słuchał z rozdziawionemi gębami, i zaczynał swoje w innem miejscu, zazwyczaj między furami i sam przytem wyłaził na furę, kiedy się zebrała większa kupa ludzi. Jego kobieta i dwa bracia wyrostki kradli tymczasem z fur, co się dało, omal że nie w oczach zasłuchanych chłopów.

— Słuchajcie, Knoblak, pojedziemy do partyi, mam interes. Ja będę robił, a wy będziecie bajcować, bo ja nie wiem, jakie tam u nich zwyczaje.

— A do jakiej to? — spytał Knoblak.

B. HERTZ.

Kolizya.

BAJKA.

Była puszcza, w puszczy parów,
Nad parowem — ćma komarów.
Drobiazg to niby, a jednakże w walce
Takie zuchwalce,
Że i najdostojniejsze opadają bestye.
Na nic pazury, na nic zęby, rogi...
Wreszcie ogół czworonogi
Komarową podniósł kwestyę.
Postanowiono
Pogromcę insektów obdarzyć koroną.
Żaba, do walki takiej, jak stworzona:
Dziennie owadów łowi pół miliona —
Dalejże się uganiać, pluskać po topieli;
To chluśnie w bagno, to znów na ląd strzeli.
A co uchwyci komara —
Fanfara.

Ten i ów z podziwem zerka:
— Niema co gadać, Żaba — bohaterka;
Żaba — czworonogów perła.
Ofiarowano jej berło.
Ale cóż, toć komary żywot mają twardy:
Giną miliony, lęgną się miliardy.
Choćbyś był i nad-żabą, wszystkich nie wyłowisz.
W sprawę tę wejrzał nakoniec sam Jowisz.
— Znajdzie się rada —
Powiada. —
Osuszę błota —
Zginie hołota.
Lecz Żaba w krzyk:
— Przepraszam! A to dobre sobie.
Bez bagna, ja, królowa, co ze sobą zrobię?

— A no do tej, co jest. Jedna jest koło nas.

— Jest naprzód Sierbienicka partya — tam ja nie pojadę, żebyście mi sto rubli tu na stole położyli, a jest jeszcze w Lucieniu w cukrowni, o trzy mile w drugą stronę, i jest jeszcze w Młynach, tylko że tam już daleko za rzeką, inna gubernia.

— A która mocniejsza, w której więcej ludzi?...

— Teraz to chyba w cukrowni; wprzód była w Sierbienicach duża siła, ale ich strasznie zjadło po tym zamachu... Tam ja jechać nie mogę: widzicie, bo był taki wypadek...

— Jedziem do cukrowni. A wiecie, do kogo tam pójść?...

— Ohoho!

Pojechali.

Cukrownia „Lucień" stała o niecałe trzy mile od miasteczka. O tej porze była tam kampania w całej pełni. O zmierzchu pocichu zajechali. Figiszewski został przy koniach, a Knoblak poszedł na zwiady. Po półgodzinie przyszło z nim dwóch ludzi i zaczęto gadać. Partyjnym interes się bardzo spodobał. Figiszewski, chcąc okazać swoje wyrobienie, nie mówił inaczej, jeno za każdym razem: „Szanowna polska partya", albo „szanowne panowie z polskiej partyi", co się towarzyszom, owszem, podobało. Knoblak był nie zwykle czynny, wychwalał męstwo partyi, zachwalał towar, uwijał się i bajcował, zwyczajnie, jak faktor.

Partyjni pogadali, pogadali i poszli się naradzić ze swoimi.

Walczak strasznie się palił do interesu. Niezmiernie mu się spodobało cudowne odzyskanie takiej rzeczy. Wyśle się człowieka do Warszawy — pójdzie na biuro i powie: przywiozłem to i to! Dopieroż będzie radość! Sami towarzysze z centralnego komitetu powiedzą: morowe są te chłopy z Lucienia! Na to pieniędzy niema co żałować. Leży u nas 250 rubli z monopolów, jest z czego zapłacić. Jeszcze ta bomba posłuży! Może to dlatego tak się jakoś zrobiło cicho, że o takie rzeczy teraz trudno? A w jakiś czas gruchnie znowu — a my będziem wiedzieli, że to ona, ta nasza!

— Powoli, tylko nie za prędko, jeszcześmy nic nie kupili... Ty uważaj, o co tu chodzi. Ty uważaj, głupi, z kim sprawa! Przecie to są spryciarze. To łajdusy i hycle z pod ciemnej gwiazdy, te ze Szlamowiec...

— Nam oni nie szkodzili.

— A bo jeszcze nie zaczęli.

Weszycki, pomocnik maszynisty, zwany w partyi „Klucz", był to szczwany i ostrożny lis partyjny. On gadał z dyrektorem, jak trzeba się było ująć za wszystkich, przez niego załatwiali najważniejsze sprawy ludzie, przyjeżdżający od partyi. On to prowadził owe całkiem nie zalecane, ale nie zanadto zabraniane wycieczki na monopole, a tak się urządzał, że policya ani razu nie zawadziła cukrowników. Był znany w okolicy od czasu strejków rolnych i w swojej organizacyi panował niepodzielnie. Jednak wywołał ludzi na naradę i rzecz całą przedstawił.

Radzono z pół godziny:—a skąd my wiemy, że to prawdziwa bomba, może w środku być ołów, czy śrut? Jakże tak kupować kota w worku?

— Mówił o jakimś liście od partyjnego człowieka.

— List można zawsze podrobić.

— Zobaczymy, spróbować nie zawadzi. Może być prawda. Jeszcze oni z nami nie zadzierali. Może być interes czysty.

— A teraz — wiele dawać?

— Chce złodziej sto rubli.

— Co, on się wściekł?

— O tem jeszcze pogadamy. Utargować można połowę, albo więcej, bo komuż on to sprzeda?

— Powiada, że ma kupca w Warszawie, co już daje 50 rubli z odstawą. Tylko, powiada, niebezpiecznie taką rzecz wozić, a zresztą naszej partyi oni niby dają pierwszeństwo, bo rzecz nasza, a tamci są żydy-komuniści, a w gruncie pewnie bandyci. Czy łże, tego nie wiem.

— Nie wypada się o taką rzecz targować i jeszcze ze złodziejem.

— Trza pogadać.

— A ona tu jest?

— Powiada, że przywiózł.

— Kto wie, możeby i tak oddał.

— Czemu to?

— Odda, jak mu się odbierze. Można mu co dać za fatygę. Rzecz jest nasza, sam to złodziej przyznaje.

— Będą jeszcze złodzieje na partyi zarabiać!

— Tylko ten starszy złodziej przymawiał się wyraźnie, że oni honorowi partyi zawierzyli, że nigdy oni tak żadnych interesów nie robią, tylko z nami, bo oni szanują partyę.

— Honor honorem. My jego też będziem szanować, jak odda dobrowolnie, jak się patrzy. Rzecz i tak jest nasza. Sto rubli się partyi przyda na co innego.

Różnie radzili, wreszcie towarzysze powłazili do drugiej, ciemnej izby, żeby wszystko widzieć i słyszeć, a sami nie być widziani, a Weszycki i Walczak wprowadzili dwóch gości ze Szlamowiec.

Figiszewski rozejrzał się ciekawie po izbie, zdjął czapkę i przemówił:

— Dobry wieczór, szanowne państwo, którzy tam siedzicie bez światła!

— Dobry wieczór i wam. Tak nam będzie wygodniej...

— Dobrze mówicie, panowie. W takie czasy nie można nieznajomemu dowierzać. Ale ja tu w czystej sprawie...

To mówiąc, wskazał na spory pakunek, obwiązany w płachtę, i położył go uroczyście na stole.

Weszycki usadził gości i zażądał okazania dokumentu. Figiszewski z wielkiego pugilaresu wydobył świstek.

— Wymiętoszony i obdarty, ale taki już do nas przyszedł, nie nasza wina.

— Czytać! Czytać! — wołano z ciemnej izby.

Weszycki siadł pod lampą elektryczną, podniósł papier do oczu i czytał swoim tęgim głosem, wolno a wyraźnie:

— „Ludzie kochane i wy wszystkie towarzysze i wszystkie towarzyszki i cała partyo!

Ja już, niedługo czekać, pójdę, wołając — precz z caratem! A wy się starajcie i życia nie żałować, bo raz kozie śmierć! Już policzone dni piekielnych mocy, ino wytrzymać! Niech się chłopy ruszą, bo nas ćma! Za nasze krzywdy, za nasze uciski, za krew, co woła o pomstę do Boga, niechże się raz podniesie naród pobłąkany! Jutro mnie powieszą, albo pojutrze najdalej i ja na to teraz czekam w tych czterech ścianach, jakby w murowanym grobie. Ale pókim jeszcze żywy, będę do samego końca taki sam, jak wyście mnie znali! I tamte czterech tyż to samo, choć nie siedzim już razem, bo nas przed samą śmiercią rozsadziły osobno. I ja pójdę i oni pójdą najdalej pojutrze. Nadejdzie jednak dzień zapłaty!"

Weszycki przerwał i milczał przez chwilę. Cicho było w izbach i tamci siedzieli cicho w ciemności, tylko za oknem huczała fabryka, i dzień i noc idąca.

— „Tobie, Cecylio Kiełzino, żono poślubiona, moje pożegnanie, moje błogosławieństwo i taki nakaz: jak gadałem na ostatniem pożegnaniu na sądzie: dzieci naszych nie krzywdzić, jak za chłopa pójdziesz! Twoim nowym dzieciom to nie ubędzie, bo to ci każę — za porządnego gospodarza się wydaj. Jeszcze ci powtarzam—za Oleśniaka, co owdowiał, bo pół naszego gruntu jest z nim o miedzę. Baba babą, nowego chłopa słucha zawsze i jego dzieci zawsze przodem. Ale ty nie tak! Pamiętaj, że partya będzie i dbała i rady ci da. Dobraś była aż do końca i tak ci piszę, bo jest prawda. Płacz, to ci ulży, na mszę daj nie raz, nie żałuj, bo moja śmierć to zasługa. Jak proboszcz będzie ci na mnie szczekał, to mu gębę zatkaj, nic mu nie wierz, bo nasza prawda. Sklepnikowi z monopola we Włoczyskach zapowiedz, że nie ja mu łeb rozbiłem przy robocie, bo my tam nie robili. Na sądzie się wyparł, czyli jest znaczy jako porządny, bo wierzył i się odgrażał. Mnie to nie pomogło, bo i tak już było zanadto dość. Powieszą mnie i umrę z letkiem sumieniem, a światłość wiekuista niechaj mi świeci!

Tobie, żono, pozostawiam moją ostatnią wolę i testament najświętszy, niech cię ręka boska uchroni, żebyś nie zrobiła, jak chcę, bo z tamtego świata wylazę i po nocach będę nad tobą stał, jak tego Pana Boga kocham!

Przywiozłem od naszych, a skąd, to ci wiadomo, na przechowanie bombę. Ty o tem nie wiesz ani miejsca. Ani nikt nie wie! Spokoju nie zaznam w tym niepoświęconym grobie, jeżeli nie zrobisz, jak nakazuję! Uważaj, jak idzie gościniec ku Jaworzyńskiemu dworu. Za Krzysiakowem obejściem będzie po gościńcu kroków jakich sto słup wiorstowy, na którym stoi napis 17. Od tego słupa idź dworskiem polem aż do kępy. Stoi sosna na przodzie najpierwsza od gościńca. Stań pode sosną tyłem i idź do drogi z powrotem kroków siedem (to jest siedem!) i kop powolutku. Na łokieć jeden głęboko natrafisz spadlem na kwarde. To będzie bańka zalutowana, dwugarncowa. Nic się nie bój, opakowane w wiórach, przy mnie robili. We środku jest nasza bomba w króbeczce z fajnej skóry. To wszyćko zara zanieś do naszych tam — a gdzie, to wiesz. Jakby, czego Boże broń, i tamtych już wyłapali, do dom odnieś, zakop, nikomu słowa nie piśniesz, aż dopóki z partyi nie przyjdzie jaki towarzysz wiejski. Temu wszystko opowiedz, albo daj, żeby majątek partyjny nie marniał, a taka bomba zawsze jest w cenie. Bogu cię polecam i *kłaniam się wszystkim naszym ludziom we wsi i znajomym i towarzyszom wszystkim. A teraz:* niech żyje P. P. S.!

Wojciech Kiełza,

z oddziału bojowego polskiej partyi".

Dalszy ciąg nastąpi.

OCZY.

W kościele było zupełnie ciemno, bo świece po nieszporach już pogaszono. Tylko przez fioletowo-czerwone witraże sączyły się powoli resztki światła dziennego i tliła się lampka wieczysta przed ołtarzem, zrzadka pryskając oliwą i rzucając szerokie, migające cienie na łukowe sklepienia.

Zdawało się, że w stallach niema nikogo, bo postacie starych, zapóźnionych mieszczek, siedzących w ławkach, zlały się w jedną całość z kamienną strukturą i zdały się być częścią kolumn, łuków i pilastrów.

Mieszczki modliły się szeptem, powtarzając monotonnie, przeciągłemi głosami koniec „Ave Maria", a chórem wymawiane słowa „Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznemi teraz i w godzinę śmierci" — brzmiały dziwnie ponuro i beznadziejnie, bo szeptały je wybladłe, sine usta, otoczone szeregiem żółtych, matowych zmarszczek i zdające się być bliższe śmierci, niż życia.

Tymczasem z cieniów bocznej nawy wynurzył się zakrystyan, zaszedł powoli za ołtarz, wyniósł stamtąd gasidło z okręconym na końcu stoczkiem, wyskubał osmalony knot i od lampki go zapalił. Potem przeszedł przez kościół, troskliwie zasłaniając światło dłonią i wlokąc kij za sobą, wsunął się do bocznej kaplicy, a opuściwszy lampkę przed ołtarzem — płomień przytknął do jej knotka...

Z ciemności wyłonił się półmrok: cienie rozpełzły się po ścianach, jak żywe, i legły potulnie od stropu do posadzki w kształtach fantastycznych, przewlekłych.

Nagle jakiś lekki szmer się odezwał. Zakrystyan, który nawet w kościele nie zapominał o swych przesądach — obrócił głowę w kierunku lewego ramienia — powoli, ostrożnie... i cofnął się o krok, wystraszony, ale głos mistrza Jakóba uspokoił go odrazu:

— To ja — tak, to ja, mój poczciwy Bonawenturo; przyszedłem zobaczyć, jak wygląda Madonna o zmroku, i zasiedziałem się — ale to nic — samotność jest czasami dobrą towarzyszką. W każdym razie zostanę tu jeszcze chwilę, — dodał — zostaw mnie samego — tak... możesz iść — albo lepiej — powiedz mi, czy nie widzisz... czy nie zauważyłeś wypadkiem, że obraz... bo mnie się zdawało... — i nagle urwał.

Zakrystyan przeczekał chwilę, a widząc, że mistrz pogrążył się w zadumie, przyzwyczajony do jego dziwactw — wyszedł, mrucząc coś pod nosem.

Mistrz Jakób pozostał sam. Wpatrzył się w obraz i nagle... mienić mu się w oczach zaczęło...

Z kościoła wychodzi procesya: tłum ludzi barwnych, przybranych w stroje odświętne, idzie pod kolorowemi chorągwiami, niosąc święte obrazy. Potoki ludu leją się bez końca, zajmując powoli cały plac przed kościołem, i tyle ich tam jest, tyle, że *mistrz Jakób sam siebie pyta, czy to nie cud, że moc taką* żywych w przybytku swoim Bóg pomieścić raczył.

Przodem kroczy duchowieństwo i aż oczy bolą od patrzenia na fiolety i szkarłaty; a potem słudzy sług bożych, w habitach i kapturach na oczy naciągniętych, trzymają w ręku świece i śpiewają zgodnym chórem pieśń nabożną i ponurą, która leci do niebios jasnych i pełnych wesela.

I mistrz widzi samego siebie: w habicie z kapturem kroczy poważnie z gromnicą w ręku.

Ach! czemuż, czemuż wówczas się obejrzał? czy stało się to za sprawą złego ducha, czy słabej natury ludzkiej, nigdy nie doskonałej? Ale to było silniejsze od jego woli; czuł sztylety zatrute, przekłuwające mu ciało, ból i rozkosz zarazem, a obróciwszy zlekka głowę — ujrzał dwa łuki sobolowych brwi, czarne aksamitne oczy i nic, nic więcej. Odtąd jakby nie Bogu, lecz dyabłu duszę w opiekę powierzył — odbiegł go spokój — na nic posty, na nic biczowania — wśród burzy w nocy skoczył z muru klasztornego i już nigdy do celi swej nie wrócił.

* * *

Najprzód rozrabiał farby w pracowni mistrza Walentego. Potem uczył się patrzeć. Potem podziwiał; aż raz... zostawiony samotnie przy niedokończonej „piecie", niespodziewanie porwał pędzel i namalował jej sobolowe brwi, czarne, aksamitne oczy i... uciekł w świat, przed siebie — byle dalej — byle dalej...

Minęło wiele lat. Z młodzieńczego ucznia wyrósł mistrz, którego królowa zawezwała do dalekiej Polski, aby obrazami świętemi nowy kościół ozdobił. Pojechał mistrz Jakób i począł żarliwie pracować, dzień cały z pomocnikami na rusztowaniu spędzał — noce trawił na rozmyślaniach, jak ku większej chwale Bo-

ga, przez siebie obrażonego, dom Jego upiększyć.

Daremne rozmyślania: w kaplicy obraz Matki Najświętszej być musi, a mistrz Jakób boi go się malować, bo prześladują go straszne wspomnienia: noc... burza i ten skok z muru klasztornego, skok duszy w przepaść piekielną... Frasuje się mistrz, aż królowa to widzi, a chcąc mu troski i pracy oszczędzić — rzecze:

— Nie niepokojcie się mistrzu Jakóbie,—mamy tu w skarbcu naszym obraz w Italjej kupiony, może go w kaplicy w ołtarz oprawić każecie...

Skinie i wnet słudzy obraz niosą. Spojrzał mistrz Jakób i zbladł straszliwie. Stała przed nim Madonna o brwiach sobolowych i oczach, jak czarny aksamit — pieta z pracowni mistrza Walentego.

— Mistrzu, na Boga, co wam to — pyta królowa...

* * *

O nowym obrazie Madonny dziwne mówiono rzeczy. Jedni powiadali, że oczy świecą często złym blaskiem; inni— że w kaplicy straszy, ale wszyscy na jedno się zgadzali, że obraz jest widocznie zaczarowany, bo żadna modlitwa doń zaniesiona nie była wysłuchana. Przeciwnie — proszący o zdrowie — umierał; o podróż szczęśliwą — ginął od rozbójników. Każda modlitwa wysłuchana była naopak... To też złe i straszne rzeczy opowiadano o Madonnie z kaplicy i nikt, raz pomodliwszy się, po raz drugi tam nie wracał.

Jeden tylko człowiek codzień o zmroku przed Madonną klęczał: był to sam twórca obrazu — mistrz Jakób. Godzinami patrzał w aksamitne, czarne oczy, a czoło myślami obarczone łamało mu się w bruzdy, jak morze w czasie burzy. I teraz trwa w zadumie i przeszłość swą całą raz jeszcze przeżywa— grzeszną, bezbożną przeszłość i zdaje mu się, że zemsta niebios go nie minie, bo oto chimery z pilastrów już nań szczerzą swe okrutne zęby... Boże, bądź miłościw...

Wtem do kaplicy wchodzi cudne, złotowłose dziewcze; mistrz spojrzał; twarz dziewczęcia wydała mu się bardzo piękna i bardzo smutna. Szła zamyślona wprost przed siebie i już chciała klęknąć przed obrazem Najświętszej Panny, gdy mistrz Jakób zbliżył się do niej i rzekł:

— Nie módl się tu, moje dziecko, bo nie będziesz wysłuchaną — ta Madonna nie spełniła nigdy żadnej prośby.

— Źle mówicie, panie — odrzekło dziewczę — mnie Najświętsza Panna napewno wysłucha, bo sumienie moje jest czyste: przyszłam prosić o zdrowie dla mej matki-staruszki.

To mówiąc, spojrzała oczami koloru chabru na mistrza, który poczuł wzrok ten, jako siłę dobrą. Błogość jakaś i ukojenie weń wstąpiło. Zdawało mu się, że ratunek dla jego duszy się zbliża, i że powinien się modlić. Więc padł krzyżem i błagał Boga:

— Ukarz mnie, Panie — szeptał — lecz wysłuchaj prośby tego dziecka, niechaj ono nie pokutuje za mój grzech i swoją wiarę — przemień szatana obrazu w anioła — tyle lat! o Panie, już bardzo stary jestem — zabierz mnie, a daj zdrowie matce tej jasnowłosej...

Gdy dziewczyna o niebieskich oczach do domu wróciła, zastała matkę swą szykującą wieczerzę przy kominku. Staruszka krzątała się żwawo...

Nazajutrz dziwne rzeczy opowiadano na Rynku: podobno zakrystyan, otwierając rano kaplicę Matki Boskiej, znalazł jakiegoś starca z wielką siwą brodą, leżącego krzyżem bez życia. Długo dociekano, ktoby mógł być ów starzec; dopiero pod wieczór jeden z dworskich ludzi zauważył na palcach zmarłego znajome sobie pierścienie i aż zakrzyknął z przerażenia: zmarłym był mistrz Jakób. Zmieniony był wielce: starcze rysy okoliła długa, siwa broda, ale pogodny uśmiech na ustach zdawał się mówić o śmierci spokojnej, kierowanej zrządzeniem Najwyższego.

W kaplicy Matki Boskiej nic się nie zmieniło—szeptem tylko powtarzano z ust do ust, że nieczysta jakaś siła tam grasuje, bo wszyscy wiedzieli i nawet ojciec Benwenuto potwierdzał, że oczy Madonny były dawniej, jak czarny aksamit, a teraz stały się niebieskie, jak chabry...

Stanisław Zalewski.

WITOLD ŁASZCZYŃSKI.

Amfiteatr w Łazienkach.

W królewskim, starym parku, na amfiteatrze,
Gdzie była biała loża Króla Jegomości,
Jak ongi król — zasiadam dzisiaj ja i patrzę,
Rychło zaczną odwieczną komedyę miłości?
Słońce-kinkiet, śląc z nieba-kopuły promienie,
Oświetla amfiteatr blaskami opali
I kładzie złoto-biały kobierzec na scenie,
A staw się dyamentami wkoło niej kryształi.
W orkiestrze jeszcze głucho, na amfiteatrze
Kamienne ławy puste, niema publiczności —
Jestem tylko sam jeden i samotny patrzę,
Rychło zaczną odwieczną komedyę zazdrości?
Pośród wierzb i topoli szmaragdowych liści
Czerwienią się kolumny-ruiny na scenie;
Brak kulis, dekoracyi, nie przyszli artyści —
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!
Rumieńcem nagle płonie moja twarz pobladła,
Tysiąca oczu czuję na sobie spojrzenie:
To na ławach kamiennych przeszłość wkrąg zasiadła —
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!
I z foteli kamiennych na amfiteatrze
Kamienni mędrcy wzrok swój cofnęli z wieczności —
Nie jestem już samotny, nie sam jeden patrzę,
Rychło zaczną odwieczną komedyę chciwości?
Scena pusta; nie gonią się nawet motyle;
Wtem, patrzcie, przebiegają po niej jakieś cienie?
To biały obłok słońce przysłonił na chwilę —
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!
W orkiestrze jeszcze głucho, nie przyszli artyści;
Nagle, słuchajcie, słychać harf tysiąca brzmienie?
To wiatr swem tchnieniem zagrał na tysiącu liści —
Cisza... lecz coś mi szepce: będzie przedstawienie!
Wytężam słuch i słyszę ciche drżenie fali,
Wytężam wzrok i widzę, jak przez wód kryształy,
Z pod arkad królewskiego pałacu, z oddali,
Jak król majestatycznie płynie łabędź biały.
Przecina własną piersią kryształowe tonie,
Ku słońcu wznosi szyję, podobną kolumnie,
I płynie łabędź biały... wyciągam doń dłonie,
I wzrok i słuch wytężam: ku mnie płynie, ku mnie!
Coraz szerzej zatacza dyamentowe kręgi,
Coraz szybciej przybliża je do balustrady,
Już ręce me sięgają pierwszej kręgów wstęgi,
Gdy nagle krzyk powietrze przeszył ostrzem szpady.
Biały łabędź wzniósł skrzydła, szyję białą pręży,
Pierś biała barwi mu się krwią, jak rubinami,
I cofnął się przed sykiem, straszliwszym od węży,
I oto łabędź czarny stanął między nami.
We stu skrętach się miota czarna jego szyja,
We krwi nurzany dziób swój rozwarł, jak dwa miecze,
I syczący swój język wyciągnął, jak żmija,
I czarnemi skrzydłami staw spieniony siecze.
Ściągnął szpony i bryzgnął wkrąg skrwawioną falą,
I powstał szum ogromny na amfiteatrze:
Gdzie łabędź biały?... Fale w słońcu się kryształą...
Gdzie łabędź biały?... Próżno i szukam i patrzę...
I znów cisza... zniknęła piękna biała postać;
W amfiteatrze pusto i pusto na scenie...
I sam nie wiem: już odejść, czyli jeszcze zostać?
Było już, czy dopiero będzie przedstawienie?
Ale z wichru idący głos Pana nad Pany,
Którego moja dusza jest zwierciadłem chwały,
Woła do mnie: trwaj, czekaj! zagoją się rany
I po zwycięstwo wróci — wróci łabędź biały!

Na gwiazdkę.

Pan inżynier wrócił późnym wieczorem od rodziny z wigilii i zastał swego Andrzeja w stanie, jeśli nie gniewu, to conajmniej pożałowania godnym. Niespodzianka dla patrona była tem większa, że wierny służący, już nietylko na przeciąg trwania wojny, ale i na pewien czas przed jej wybuchem, odrzekł się solennie wszelkiego „urzynania", do czego w samej rzeczy lat parę wstecz poważne okazywał skłonności. Ale to zawsze jakaś „ona" była temu winna! Jeśli była poczciwą, to Andrzej upijał się z nią po przyjaźni, w przeciwnym razie pił z żalu lub z nienawiści! Ale teraz od dłuższego czasu żył w abstynencyi kieliszkowej bezwzględnej: co za tem idzie, pan inżynier miał wszelkie prawo mniemać, że wierny jego sługa i towarzysz trzyma się zdala od wszelkiego — takiego czy innego — „przyjaciółkostwa". A tymczasem — — —

Jednem słowem, w wieczór wigilijny roku 1915-go, po raz pierwszy od dwóch lat, ujrzał pan inżynier swego famulusa „urżniętego" w żywy kamień!

— Cóż to Andrzej — — —

— To na gwiazdkę, proszę pana inżyniera...

— Dla kogo na gwiazdkę?

— Niby ona — — —

Więc ona! Andrzej przerywa i pospiesza ze zgoła trzeźwem zapewnieniem, że tej „jej" zgoła nie kocha, że jej nawet nie lubi, że się jej boi... Ale ona już blizko od pół roku zarzuca na niego sieci. I dziś, że to gwiazdka, przysłała mu buteleczkę doskonałej — — —

Tu mała dywersya filologiczna, nie pozbawiona nuty narodowej rzewności.

— Proszę pana inżyniera, ja wcale nie wiedziałem, że po niemiecku to się sznaps tak samo nazywa, jak po polsku, tylko się pisze inaczej...

Ale pan inżynier nie pozwala zagadywać. Dociera prosto z mostu do jądra sprawy. Spogląda groźnie na służącego.

— Andrzej niby „jej" nie tego... a jak tylko przysłała buteleczkę — — —

— Wypiłem, proszę pana inżyniera, przyznaję się. Taka maleńka była...

— Ładnie maleńka?!...

— Jak pragnę — — — Ta druga była dopiero trochę większa.

— Jaka druga?

— Ta, co ja ją do niej zaniosłem.

— Więc Andrzej — — —

Poczciwiec przyznaje się, że wzruszyła go jej pamięć o nim i życzliwość, że więc — — —

Pan inżynier przerywa wzburzony:

— I teraz będzie Andrzej, ma się rozumieć — — —

Krzyk patrona otrzeźwia wiernego sługę do reszty. Pan inżynier kończy:

— ...będzie Andrzej codziennie...

Z kolei służący przerywa zniecierpliwionemu patronowi.

— Codziennie do kiliszka nie będzie się zaglądało, proszę pana inżyniera! Uchowaj Boże!... Ale, kiedy już można i wolno, to od czasu do czasu człowiek przecież będzie musiał... Tyle lat się to robiło, i żyło się, i dobrze było, choć było źle...

Pan inżynier łagodnieje.

— No dobrze, nie o tem wówię... Ale pytam się, co będzie z — — —

Andrzej spuszcza oczy zażenowany.

— Z tą, co mi na gwiazdkę buteleczkę — — —? Ano... będę się nie dawał!

I macha ręką melancholijnie.

B. Gorczyński.

AUTORKA NASZEJ NOWEJ POWIEŚCI

E. L. VOYNICH.

Autorka, której słynną powieść „The Gadfly" („Bąk"), przyswojoną wszystkim niemal poważniejszym literaturom europejskim, podajemy obecnie w przekładzie czytelnikom „Świata", jest indywidualnością wielce odrębną w plejadzie pisarek angielskich, sypiących trzytomowe powieści, jak z rękawa, której to grafomańskiej niemal łatwości pióra towarzyszy przeważnie rozwlekłość, drobiazgowość nużąca, płytkość obserwacyi i błahość tematów, snutych z erotycznego kłębka, jakim żonglują wypieszczone rączki pięknych ladies i sportowe dłonie szlachetnych lordów.

Pani E. L. Voynich w ciągu swej blizko trzydziestoletniej karyery literackiej napisała, o dziwo, tylko trzy czy cztery powieści, będące na podobieństwo utworów Flauberta, Ebersa, Rider Haggarda, owocem głębokich przemyśleń i benedyktyńskich studyów. Córka znakomitego filologa oksforckiego, wzrosła w atmosferze wysokiej kultury umysłowej i piękny swój talent literacki hodowała w użyzniającym, bibliotecznym pyle, co bynajmniej nie przeszkadzało jej pławić go w słońcu wyobraźni i artyzmu.

„Bąk" kosztował ją kilkanaście lat mrówczej pracy po archiwach, i państwowych i prywatnych księgozbiorach Florencyi, Bolonii, Pizy, przyczem ta uczona córa Albionu wzrokiem artystki sięgała w duszę włoskiego narodu, intuicyą talentu wnikając w tajniki tych wszystkish pierwiastków psychologiczno-społecznych, które nurtując od dna państwowego rozwoju, wywołały wielki, rewolucyjny ruch „Młodych Włoch", płomiennem tchnieniem Mazzinniego rozdmuchany. Wszystkie nadzieje i trwogi ujarzmionej a rwącej się do wolności Italii, które tak płomiennie opiewał geniusz Shelley'a, ożyły pod piórem Lilli Voynich na kartkach jej niepospolitej książki. To też prasa angielska powitała z entuzyazmem nową gwiazdę na horyzoncie jej literatury wschodzącą, przyznając jednogłośnie „Bąkowi" najświetniejsze zalety powieściopisarskiej techniki, a więc silnie dramatyczne, ani na chwilę nie słabnące napięcie akcyi, trzymającej wyobraźnię czytelnika w ciągłem podnieceniu, dosadną i wierną charakterystykę rewolucyjnych typów, a zwłaszcza niesłychanie ciekawą, oryginalnie pomyślaną i artystycznie wycyzelowaną postać głównego bohatera „Bąka" i wdzięk humoru i satyry, ślizgającej się, niby promień słońca, po tragiczno-ponurym całokształcie dzieła.

W przeciwieństwie do Maryi Corelli, której piękny talent wypaczyła rozwichrzona, w metafizycznych mgłach kąpiąca się fantazya, autorka „Bąka" ujęła bujną swą wyobraźnię w cembrowinę nieubłaganej logiki myślenia, trzeźwej analizy i ścisłego gruntu rzeczywistości. Więc też i styl jej jest zawsze jasny, a sytuacye i charaktery tchną prawdą życiową, zdobywającą sobie wiarę i sympatyę czytelnika.

Ku uzupełnieniu tej pobieżnej sylwetki dodać należy jeden rys, obojętny dla każdej innej czytającej publiczności, lecz bardzo interesujący dla naszej. Oto nazwisko Voynich, pisane właściwą mu ortografią, brzmi nawskroś swojsko w naszych uszach; autorka „Bąka" bowiem jest żoną polaka Wojnicza, dobrze ongi znanego w Warszawie, którego okoliczności polityczne wygnały z kraju i który w Londynie zdobył sobie stanowisko wsławionego wielu cennemi odkryciami naukowemi antykwaryusza. Pani Woyniczowa nietylko nazwiskiem zespoliła się z naszem społeczeństwem. Dwie jej powieści „Jack Raymond" i „Oliwia Latham", osnute są na tle stosunków polskich, polsko-rosyjskich i z odczuciem, jakby wprost z duszy polki płynącem, odzwierciadlają bóle, tęsknoty i męczeńską dolę naszego narodu w postaciach jego działaczy i wygnańców.

H. J. P.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

BĄK.

1

POWIEŚĆ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Rozdział I.

Artur siedział w bibliotece teologicznego seminaryum w Pizie, przeglądając stosy rękopisowych kazań.

Był to gorący, czerwcowy wieczór i okna stały otworem z poprzymykanemi tylko dla chłodu żaluzyami.

Ojciec przełożony, kanonik Montanelli, przerwał na chwilę pisanie i kochającem spojrzeniem objął czarnowłosą głowę, pochyloną nad papierami.

— Nie możesz znaleźć *carino?* Mniejsza z tem; napiszę ten ustęp ponownie. Prawdopodobnie musiałem go podrzeć i trzymam cię tylko cały ten czas napróżno.

Głos Montanelli'ego był nizki, ale pełny i dźwięczny, o dziwnie czystem, srebrnem brzmieniu, nadającem szczególny urok jego mowie. Był to głos urodzonego kaznodziei: bogaty we wszelkie możliwe odcienia. Gdy mówił do Artura, dźwięczała w nim zawsze pieszczotliwa nuta.

— Nie, Padre; muszę go znaleźć. Jestem pewny, żeś go tu poło-

żył. Po raz drugi już się nigdy tak samo nie napisze.

Montanelli zabrał się znów do roboty. Senny chrząszcz brzęczał drzemliwie za oknem, a z ulicy dochodziło przeciągłe wołanie owocarza: „*Flagola! Flagola*".

— „O uzdrowieniu Trędowatego!" otóż i znalazłem! — i z temi słowy Artur przeszedł przez pokój właściwym mu aksamitnym krokiem, który zawsze drażnił jego rodzinę w domu. Był to drobny, szczupły chłopiec, podobny bardziej do portretu młodziutkiego włocha z szesnastego wieku, niż do angielskiego wyrostka średniej klasy w teraźniejszych czasach. Począwszy od długich, łukowatych brwi a kończąc na drobnych rękach i stopach, wszystko w nim było, jakby przerafinowane, przedelikacone. Gdy siedział spokojnie, można go było wziąć za śliczną, po męsku przebraną dzieweczkę, ale gdy się poruszał, jego nadzwyczajna giętkość i zwinność przywodziła na myśl obłaskawioną panterę bez szponów.

— Czy być może! Co jabym począł bez ciebie, Arturze? Zawszebym coś gubił i nie mógł potem znaleźć. Nie; nie będę już pisał więcej dzisiaj. Pójdź do ogrodu; pomogę ci w twojem zadaniu. Czego to nie możesz zrozumieć?

Poszli do cienistego, klasztornego ogrodu. Seminaryum mieściło się w starym, po-dominikańskim klasztorze, gdzie przed dwustu laty rozmaryny i lawenda rosły w ubitych, strzyżonych rabatach na kwadratowym dziedzińcu. Dziś, mnisi w białych habitach, którzy je pielęgnowali, leżeli dawno w grobach i poszli w zapomnienie; ale wonne krzewy kwitły po dawnemu, choć nikt się o nie nie troszczył i płatków ich nie zbierał.

W kącie ogrodu rosła wspaniała magnolia, podobna do wieży ciemnozielonego listowia, tu i owdzie mleczno-białem kwieciem zbryzganego. Drewniana ławka stała pod pniem i Montenelli usiadł tam ze swoim młodziutkim towarzyszem. Artur studyował filozofię na uniwersytecie, i z każdą napotkaną trudnością zwracał się do Montanelli'ego, który był dla niego żywą encyklopedyą; sam jednak nie należał do uczniów seminaryum.

— Pójde już teraz — rzekł, gdy odnośny ustęp został wyjaśniony — chyba, że ty, ojcze, masz coś dla mnie do roboty.

— Nie; nie chcę, żebyś pracował więcej, ale bardzobym sobie życzył, żebyś pozostał, jeżeli masz trochę czasu.

— O, mam. — Artur oparł się plecami o pień drzewa i spojrzał w górę po przez ciemne gałęzie w spokojne niebo, na którem gwiazdy już poczynały migotać. Po swojej kornwalijskiej matce odziedziczył on marzące, ciemno-błękitne oczy, ocienione czarnemi rzęsami, i Montanelli odwrócił głowę, żeby na nie nie patrzeć.

— Wydajesz się zmęczonym, *carino* — rzekł po chwili.

— Cóż robić — odpowiedział Artur, jakby zniechęconym głosem.

— Zawcześnie wróciłeś do kolegium po tych nieprzespanych nocach i pielęgnowaniu chorej. Należało mi nastawać na to, byś sobie dobrze wypoczął, nim opuściłeś Leghorn.

— O, *padre*, na cóżby się to zdało? Nie potrafiłbym wytrzymać w tym okropnym domu po śmierci matki. Julia byłaby mnie doprowadziła do szaleństwa.

Julia była żoną jego najstarszego, przyrodniego brata i cierniem w jego nodze.

— To też nie byłbym żądał, żebyś został w domu — odpowiedział Montanelli łagodnie. — Oczywiście, byłoby to najgorszą rzeczą dla ciebie. Nie; ale mogłeś przyjąć zaproszenie twego przyjaciela angielskiego doktora i spędzić jaki miesiąc pod jego dachem. Byłbyś teraz zdolniejszym do nauki.

— Nie, Padre. Warren'owie są bardzo dobrzy i serdeczni, ale nie rozumieją wielu rzeczy. Żałują mnie i byliby chcieli pocieszać i rozmawiać o matce. Oczywiście, nie Gemma, bo ta zawsze wiedziała, co powiedzieć, nawet gdyśmy byli dziećmi; ale inni. Zresztą, to nietylko to...

— Więc cóż, mój synu?

Artur zerwał gałązkę kwitnących powoi i zgniótł ją nerwowo w dłoni.

— Nie mogę znieść tego miasta — zaczął po chwili. — Tam są sklepy, gdzie mama kupowała mi zabawki, gdym był małym, i te przechadzki nadbrzeżne, gdzieśmy chadzali razem, dopóki nie zachorowała ciężko. I teraz gdzie się tylko zwróciłem, wszystko było tak po dawnemu; kwiaciarki podchodziły do mnie z pękami róż, jakgdybym ich teraz potrzebował! I ten cmentarz!... nie, nie, musiałem wyjechać; to było nie do zniesienia...

Umilkł i siedząc skubał delikatnie kielichy powojów. Milczenie zapanowało tak długie i tak głębokie, że wreszcie podniósł głowę zdumiony, czemu „Padre" nic nie mówi. Zmierzch zapadał i pod magnolią ciemno już było prawie; nie tak jednak, by Artur nie dostrzegł trupiej bladości, jaka powlokła twarz Montanalli'ego. Ksiądz siedział z głową zwieszoną na piersi, silnie ściskając prawą ręką brzeg ławki. Artur doznał takiego uczucia, jakgdyby wstąpił niebacznie na poświęcony grunt.

— Mój Boże! — pomyślał — jakiż ja przy nim mały i samolubny! Toż on cierpi nad moją stratą, jak nad swoją własną!

Wreszcie Montanelli podniósł głowę.

— Nie będę już nalegał na ciebie, żebyś tam wracał — rzekł z nieopisaną tkliwością w głosie — ale musisz mi przyrzec, że gdy się latem wakacye zaczną, odpoczniesz sobie gruntownie. Nie możesz szarpać w ten sposób zdrowia.

— Gdzie pojedziesz, Padre, po zamknięciu seminaryum?

— Zawiozę, jak zawsze, kleryków w góry i pozostanę tam z nimi. Ale w połowie sierpnia pod-dyrektor wróci z wakacyi. Wtedy zrobię jaką wycieczkę w Alpy. Czy chciałbyś pojechać ze mną? Włóczylibyśmy się po górach i mógłbyś studyować alpejskie mchy i porosty. Ale może nudnoby ci było tak ze mną samym?

— Padre! — wykrzyknął Artur, składając ręce — dałbym wszystko na świecie, żeby pojechać z tobą. Ale, nie wiem — — i urwał.

— Nie wiesz, czy ci pan Burton pozwoli?

— Oczywiście, że mu się to podobać nie będzie, chociaż, zabronić mi nie może. Mam osiemnaście lat i mogę robić, co mi się podoba. Zresztą, to tylko mój przyrodni brat i nie sądzę, żebym był obowiązany do posłuszeństwa względem niego. Był zawsze niedobry dla mojej matki.

— Gdyby jednak sprzeciwiał się stanowczo, to mojem zdaniem powinienem zastosować się do jego woli. Twoje położenie w domu stałoby się jeszcze przykrzejszem, gdybyś — —

— Ani trochę przykrzejszem — przerwał Artur namiętnie. — Oni mnie zawsze nienawidzili i zawsze nienawidzieć będą, bez względu na to, co zrobię. Zresztą, jakżeby James mógł sprzeciwiać się mojemu wyjazdowi z tobą, Padre, który jesteś moim spowiednikiem?

— Pamiętaj, że on jest protestantem. W każdym razie napisz do niego; zobaczymy, co odpowie. Ale nie zniechęcaj się, mój synu, postępki twoje nie powinny zależeć od tego, czy ludzie kochają się czy nienawidzą.

Napomnienie to udzielone było tak łagodnie, że Artur nie uczuł się niem dotkniętym.

— Tak, wiem — odpowiedział wzdychając — ale to tak trudno — —

— Żałowałem, żeś nie mógł przyjść do mnie we wtorek wieczorem — rzekł Montanelli, zmieniając nagle przedmiot rozmowy. — Biskup z Arrezo był u mnie i byłbym chciał, żeby cię poznał.

— Obiecałem jednemu z kolegów przyjść do niego na zebranie; byliby czekali na mnie.

— Na jakie zebranie ?

Pytanie to zakłopotało Artura.

— Właściwie to n-i-e było żadne ze... zebranie — odpowiedział zająkując się nerwowo. — Jeden z kolegów przyjechał z Genui i przemawiał do nas.

— O czem?

Artur zawahał się.

— Nie będziesz mnie pytał, Padre, o jego nazwisko? Bo przyrzekłem...

— Nie będę cię pytał o nic, a skoro przyrzekłeś tajemnicę, to, oczywiście, umiesz jej dotrzymać. Są-

dziłem jednak, że mógłbyś mi zaufać...

— O! Padre! — ufam ci bezgranicznie. Mówił o... o nas i naszych obowiązkach względem ludu i o... o tem, co czynić nam należy, żeby pomódz...

— Pomódz, komu?

— Ludowi i...

— I?

— Włochom...

Nastąpiło długie milczenie.

— Powiedz mi, Arturze — rzekł Montanelli z wielką powagą — od jak dawna myślisz o tem?

— Od — zeszłej zimy.

— Więc jeszcze przed śmiercią matki. Czy ona wiedziała o tem?

— Nie... wtedy nie przywiązywałem do tego takiej wagi.

— A teraz — przywiązujesz?

Artur zerwał znowu gałązkę powoi.

— To było tak, Padre, — zaczął z oczyma utkwionemi w ziemię. — Gdym się przygotowywał do wstępnych egzaminów zeszłej jesieni, poznałem wielu studentów i zawiązałem z nimi bliższe stosunki. Niektórzy z nich zaczęli rozmawiać ze mną o... o tych rzeczach, pożyczali mi książki. Ale to mnie wtedy nie bardzo obchodziło; spieszyłem się zawsze, aby wracać do domu do matki. Widzisz, ojcze, ona była tam sama pośród nich, jak w więzieniu, a język Julii zatruwał jej życie. A potem w zimie, gdy zachorowała tak ciężko, zapomniałem o studentach i o książkach, przestałem wogóle bywać w Pizie. Naturalnie, że byłbym powiedział matce, gdybym był pamiętał, ale wszystko to wywietrzało mi z głowy. A potem zrozumiałem, że umiera — — Byłem z nią ciągle aż do końca; często całe noce czuwałem, nie zmrużywszy oka i Gemma Warren przychodziła w dzień, żebym się mógł przespać trochę. Wtedy to, podczas tych bezsennych nocy zacząłem znowu myśleć o tych książkach i rozmowach z kolegami i zastanawiałem się, czy oni mieli słuszność i coby nasz Pan powiedział na to wszystko.

— Pytałeś Go? — zagadnął Montanelli niepewnym głosem.

— Często, *Padre*. Modliłem się i błagałem Go, żeby mnie oświecił, co mam czynić, lub pozwolił mi umrzeć z moją matuchną. Ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

— Nie wspominałeś mi nigdy o tem, Arturze. A łudziłem się, że posiadam twoje zaufanie.

— Padre! ja ci ufam bezgranicznie. Ale są rzeczy, o których z nikim mówić nie można. Czasem zdawało mi się, że nikt mi w tem pomódz nie może, nawet ty, ojcze, i moja matka. Potrzeba mi odpowiedzi wprost z nieba. Widzisz, ojcze, tu chodzi o całe życie i o moją duszę.

Dalszy ciąg nastąpi.

Z literatury.

Świat opuszczony przez bogów.

Herman Sudermann, znany autor dramatyczny, którego „Szczęście w zakątku" doznało bardzo szerokiego powodzenia na wszystkich prawie wybitnych scenach w Europie, wydał obecnie w jednym tomie trzy nowe sztuki spektaklowe pod ogólnym tytułem „Świat opuszczony przez bogów". Pierwsza sztuka jest 4-aktową komedyą. Nazwał ją autor „Przyjaciółką". Temat osnuł na złośliwych spostrzeżeniach, dotyczących kobiety ultramodern. Jest to satyra na płytkość, zarozumiałość i płochość kobiet, przejętych ultraaktualnemi zasadami wolności a właściwie anarchii obyczajowej. Drugą sztuką jest pięcioaktowa tragikomedya p. t. „Dobrze wykrojony kąt". Motto dał do niej autor bardzo złośliwe: Sztuka niemiecka — to wilcza walka wszystkich przeciw wszystkim". Trzecią spektaklową sztuką jest czteroaktowa farsa p. t. „Wyższe życie". W farsie tej wykpił Sudermann wyższe życie pewnych kół społecznych, co chcą drwić sobie z mieszczańskich cnót, a praw żadnych na to nie mają, gdyż cnota mieszczan jest jeszcze promieniem jasnym w stosunku do wyziewów moralnych tych środowisk. „Dobrze wykrojony kąt" i „wyższe życie" fabułę czerpią z berlińskich stosunków. Zapewne teatry nasze zaznajomią nas też z temi nowemi utworami głośnego autora. Wprawdzie treść ich należy do „chorych, przedwojennych czasów", gdy plotka przeżerała życie; tem niemniej jednak dla czasów powojennych mogą być one wskazówką, jak patrzył Sudermann na stosunki wielkomiejskie i jak te stosunki ułożą się po wojnie. Czy się co zmieni? Sudermann pragnąłby bohaterstwo dnia dzisiejszego przeszczepić i na jutro. Czy się to uda? Najlepiej odpowie przyszłość.

Memoryał J. W. Bandkiego o prawie hypotecznem z r. 1818.

P. J. J. Litauer, autor interesującej rozprawy p. t. „Fragmenty z dziejów polskiego sądownictwa porozbiorowego", wydał obecnie pracę o memoryale J. W. Bandtkiego, dotyczącym naszego prawa hypotecznego. W treściwym wstępie daje p. Litauer historyczny obraz powstania i zmian w naszem prawodawstwie hypotecznem w tym czasokresie. Wstęp ten jest bardzo interesujący, gdyż historycznie oświetla „arcydzieło" naszego prawodawstwa hypotecznego i wskazuje na genezę różnych pomysłów oraz realizacyę. Po tym wstępie memoryał Bandtkiego nabiera dopiero właściwego reliefu. Dodatkowe uwagi nad prawem sejmowem z r. 1818 o hypotekach oraz sprawozdanie ministra sprawiedliwości, Feliksa Łubieńskiego, z narad komisyi prawodawczej o zasadach reformy hypotecznej i raport jego w sprawie zmiany niektórych artykułów kodeksu cywilnego hypotecznego dają pełny obraz pracy prawodawczej naszych mężów stanu. Książka p. Litauera zasługuje, by nietylko prawnicy zapoznali się z jej treścią.

W pamiętnym roku wojny.

Towarzystwo wydawnicze daje bardzo estetycznie wydaną książkę dla młodzieży p. t. „W pamiętnym roku wojny". Książka ta jest rodzajem „wyboru" z różnych aktualnych wrażeń beletrystycznych i poetyckich. Wiele miejsca poświęcono legionom i ich walkom. Pozatem dano historyczne różne wspominki i wyjaśniono „wojnę europejską" obecną. Świetne rysunki p. Stef. Norblina artystycznie podnoszą drukarską wartość książki.

Jan Długosz.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze z racyi 500-lecia urodzin Jana Długosza, znakomitego historyka i ojca krajoznawstwa polskiego, wydało interesującą broszurę w tej materyi pióra p. Bolesława Olszewicza. Dla szerokich warstw broszura ta jest bardzo pożyteczną lekturą. Przystępnie i jasno napisana, wskazuje na zasługi Długosza dla dziejopisarstwa i geograficznego poznania ziem naszych. Krajoznawstwu polskiemu przysłużył się szczególnie dwoma dziełami: opisem Polski i księga uposażeń biskupstwa krakowskiego. P. Olszewicz zajmująco streszcza źródła geograficzne i pobudki moralne, które skłoniły Długosza do podjęcia tej pracy. O klimacie polskim pisze on: „Twardy, cała natura surowa, niebo zimne, wiatry ostre, śniegi długotrwające". Broszura p. Olszewicza zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

Polski kalendarz Techniczny.

Kasa Wzajemnej Pomocy i Przezorności dla osób pracujących na polu technicznem wydała „Polski Kalendarz Techniczny" na rok 1916. Kalendarz ten rozmiaru kieszeniowego jest bardzo ciekawem i pożytecznem wydawnictwem. Znaleźć w nim można wszystkie potrzebne, pomocnicze wiadomości, niezbędne dla techników lub osób pracujących w przemyśle. Dużo wolnego miejsca do notat czyni ten kalendarz doskonałem vademecum dla każdego człowieka o praktycznej skali zainteresowania.

Antologja bajki polskiej.

Młody i utalentowany bajkopisarz, p. Julian Ejsmond, wydał starannie opracowaną antologię bajki polskiej. Od pierwszych prób Biernata z Lublina po skończone i wycyzelowane arcydzieła współczesnych bajkopisów, jak Lemański i Hertz. Przy każdym autorze zamieścił p. Ejsmond krótką, zwartą charakterystykę, co dla laika jest doskonałą oryentującą wskazówką, czego winien od bajki czytanego autora żądać. Zbiór bajek jest przytem pierwszorzędny. Umiał p. Ejsmond wybrać rzeczy charakterystyczne dla każdego z poetów.

Pisma mistyczne J. Słowackiego.

W wyborze, układzie i opracowaniu St. Wyrzykowskiego zjawił się wytwornie wydany tomik „Pieśni mistycznych" J. Słowackiego. Pan Wyrzykowski zamieścił w nim: „Zbliża się straszliwa chwila", „Hymn genezyjski", „Genezis z Ducha", „Rozmowy o Wiedzy Ostatecznej", „Ewangelia Prawdy", „Teogonia", „Głos z wygnania do braci w kraju", „Do księcia A. C." oraz do „Emigracyi o potrzebie idei". By jednak zamknąć całokształt poglądów J. Słowackiego i wyczerpać wszystkie możliwe jego pomysły mistyczno-mesyaniczne, p. Wyrzykowski dodał „Fragmenty, myśli i aforyzmy". Dla miłośników poezyi wielkiego Juliusza ten tomik wybranych „pism mistycznych" jest arcymiłym upominkiem.

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ow

KUL